

JAKIŚ BÓG

Zastałem go usiłującego trafić palcem pająka idącego po szybie.

- To przynosi pecha - tłumaczę,

- Nie zasłaniaj.

Tak zaczął się dzień. Wyszedłem z domu, oglądając się za siebie, z odległości kilkunastu metrów jeszcze mogłem stwierdzić, że mu nie przeszło. Nic nie będę mówił. Wie, czym to grozi.

Mój najstarszy syn późno poszedł do szkoły, ale dobrze, że w ogóle. Kiedy miał się urodzić, obiecałem sobie, że nauczę go wszystkiego co wiem. Teraz, choć dochodzi południe, parkując Ursusa w oborze kątem oka dostrzegam, że on nadal siedzi przy oknie wpatrzony w bóg-wie-co. Zawsze był trochę nieobecny, nawet na obiad czy śniadanie przychodził jako ostatni i siadał najbliżej wejścia do kuchni. Wita mnie nie odrywając wzroku od szyby, podchodzę, żeby sprawdzić, co robi. Pająk, którego sobie upatrzył rano, leży nieżywy na białym parapecie. Żona będzie się wściekać, bo sobota, trzeba sprzątać i jak zwykle, powie, ona musi robić wszystko. Kocham go. Jako syna i jako pierwsze, najbardziej oczekiwane dziecko. Po nim była jeszcze dwójka, ale tylko on interesuje się pajakami na szybie. I za to też go kocham.

- Zrobiłem już swoje zadanie - usprawiedliwia się sam od siebie
Pająk nadal nie żyje.

Jestem chyba dobrym ojcem, staram się być inny niż ten mój. Zawsze uważałem go za dobrą instytucję, trzeba było go słuchać, czasem nawet wiedział co mówi. Zdarzało się, że na spacer wyprowadził. Tak więc dobrą był instytucją. I było go słychać. Matka umarła, to chyba był jakiś sześćdziesiąty siódmy, czy ósmy, była chora, ciężko, może nawet kiedyś by ją wyleczono, bo jak doktor mówił -wszystko idzie do przodu, zwłaszcza nauka i medycyna, tak więc mogliby ją wyleczyć. Gdyby oczywiście dożyła. Ale umarła i wtedy mniej więcej ojciec zaczął krzyczeć. Był też dosyć mądry, chociaż nie skończył żadnego uniwersytetu. U nas powiadało się, że z życiem obyty i obyczajami wielkiego świata, bo dużo pływał, dopóki matka nie umarła, bosmanem był na statku rybackim, co nie przeszkadzało mu mówić o sobie "wilk morski". Ale wilki wyją, a ojciec krzyczał.. Jego też kochałem, w końcu to on kupił mi gospodarstwo.

Czasem i mnie zdarza się na niego również nakrzyczeć, ale jak się należy, nigdy jednak go nie uderzyłem. Żona ciągle powtarza, że takie metody wychowawcze wieki temu wyszły z użycia.

Obserwuję go.

Staramy się wychowywać dzieci w tolerancji i szacunku dla innych. To nie przeszkadza od czasu do czasu zająć się pajakiem. Nie mają za dużo rozrywek, szczególnie w późnojesienne soboty, kiedy ani szkoły, ani pracy w polu. Dobrze, że chociaż te pająki chodzą tak powoli. Najbardziej lubię niedziele, dzieci chyba też. Porządne, wspólne śniadanie, czasem pojedziemy do kościoła, czasem odwiedzimy moją starą ciotkę, za którą dzieci, z wyjątkiem niego, nie przepadają, potem obiad, spacer jeśli jest ciepło. Lubię niedziele, lubimy niedziele.

Dzieci odpoczywają przed tygodniem w szkole, rozbiegły się gdzieś po gospodarstwie. Poszedł z nimi, szybko jednak wrócił. Woli nas, starych. Usiadł na małym stolku naprzeciwko i obserwuje. Czasem, gdy tak na mnie patrzy, odnoszę wrażenie, że mnie osądza. Czasem,

gdy razem w czasie żniw jedziemy zbierać kłosa, ja prowadzę, on na wozie, mówi, że czuje się jakby płynął. Później ciężko pracujemy. Pole zawsze rodzi doskonale.

W poniedziałek o godzinie piątej dzwoni budzik. Glebogryzałka już czeka więc ubieram się i wybiegam z domu starając się nie obudzić dzieci. Piąta piętnaście, stoję bezradnie z Jezusem na myśli patrząc na sprzęt, który miał praktycznie sam wykonać całą pracę. Zepsuty. Pytam siebie - kto co gdzie kiedy i dlaczego. Piąta trzydzieści, wstaje dzień. Wracam do domu, kładę się obok żony ściągając z niej kołdrę i zasypiam. Słuszny wypoczynek. Siódma trzydzieści. Wstaję znowu, dzieci ubrane jedzą przed wyjściem do szkoły. Wyciągam pasek ze spodni, mierzę w najbliższe i leję.

Czy to on?